Rozmaitości

DNIA 3. MAJA Ner 18. 1834 ROKU.

KSIĘŻNA BERRY W WANDEI.

Ustęp z historyi naszego czasu.

(Ciąg dalszy.)

»Wygoda i bezpieczeństwo, z jakiémi księżna Berry z Montpellier do Tuluzy jechała, napoiły ją takiém zaufaniem, że wielu przyjacioł w tém ostatniém mieście zawiadomiła o swojém przybyciu i nawet odwiédziny ich przyjmowała. Opuściła jednak Tuluzę zaraz w nocy po swojém przyjeździe; nazajutrz w otwartym powozie, nie zatrzymując się nigdzie, przejeżdżała przez Bordeaux, Dordogne i Cublac, i po pod same mury twierdzy Blaye; lecz wtedy jeszcze ani na myśl jéj nie przyszło, że wkrótce uwięziona będzie w tych murach. Wieczorem zatrzymał się powóz przed bramą zamku. Margrabia L* zeskoczył z kozła i dzwonił tak mocno, jak człowiek, co nie ma chęci długo czekać. Hałas ten o tak niezwyczajnéj godzinie spowodował pana zamku, że sam na dół zeszedł. »Jako L*,« rzekł margrabia, postrzegłszy go, »rozkaż prędko bramę otworzyć, przywożę ci bowiem J. K. Mość, księżnę Berry.« Pan zamku osłupiał z zadziwienia i przestrachu. »Księżna Berry,« wybąknął, »jako! J. K. Mość.« — »Ona sama, tylko prędko otwórz bramę.« — »Ale wćpan nie wiész, że mam dwadzieścia osób w domu, które wszystkie znajdują się w salonie gościnnym i...«

»Mój panie,« odezwała się księżna, »zdaje mi się, że masz synowicę, która ztąd o mil 50 mieszka?« — »Mam Mościa Księżno.«

»To dobrze, rozkaż wćpan otworzyć bramę, i owym dwudziestu osobom przedstaw mię za synowicę swoję.« Przeciw temu nie można było nic powiedzieć, a gospodarz domu, który z obawy tylko o bezpieczeństwo księżnéj dotąd nie otwiérał, natychmiast potém otworzył. Miła bohatérka nasza wyskoczyła z powozu, przyjęła podane sobie ramię i weszła do zamku. Goście tymczasem, dostrzegłszy odejścia gospodarza, rozeszli się po większéj części do swoich sypialnych pokoi, tak, że gdy księżna z panem Menars i z margrabią de L* weszła do salonu, zastała tam samę już tylko gospodynią z kilku osobami, przeto przedstawienie podróżnych nie wiele trudności robiło. Nazajutrz księżna pokazała się gościom przy śniadaniu i tak naturalnie grała rolę krewnéj domu, że nikt najmniejszego nie miał podejrzenia, w czém to jéj najwięcéj pomagało, że nikt z obecnych nie widział jéj pierwéj. W niedzielę, jak zwyczajnie, przybył także na sniadanie pleban téj parafii, do któréj mieszkańcy zamku należeli, więc i jemu przedstawiono księżnę, jako synowicę gospodarstwa. Pleban, składając uszanowanie nowo przybyłéj, tak się zmieszał raptownie, że księżna głośnym smiéchem parsknęła. Poczciwy ksiądz przedstawiony był już raz księżnéj Berry w r. 1828, podczas jéj pobytu w Rochefort. »Co księdza proboszcza zastanawia tak w mojéj synowicy?« zapytał gospodarz domu. »Jako?« odrzekł pleban, »więc to jest wćpana synowica! Prawdziwie, rzecz zadziwiająca!« — »I cóż w tym dziwnego?« zapytała księżna, którą bawiło pomieszanie księdza. »Jestto rzecz dziwna, że -- W. K. Mość -- chcę mówić, że pani jesteś tak bardzo podobna do J. K. Mości -- księżnéj -- słowem i teraz jeszcze -- ledwobym nie przysiągł, że...« Księżna zachodziła się od śmiéchu, a w téj chwili zadzwoniono do śniadania. Usiadła do stołu na przeciw plebana, lecz ten, całkiem w myślach zatopiony, ciągle patrząc na przed-

miot swojego pomieszania, zapomniał prawie o jedzeniu, a gdy mu o tém przypomniano, bez przytomności brał widelec do ust, ale podobnież kładąc go na talérz, kilkakrotnie mówił sam do siebie: »Rzecz dziwna, takie podobieństwo jeszcze mi się w życiu nie zdarzyło.«

»Księżna zabawiła dni ośm w onym zamku; rozesłała z tamtąd listy do przyjaciół swoich w Paryżu i w Wandei i wydała odezwę do ludu, którą imieniem rejentki Francyi podpisała. Lecz była w błędzie nie tylko co do przygotowań, ale oraz co do sposobu myślenia w departamentach zachodnich. Sądziła o tych prowincyjach podług południowych, które, jedném wezwaniem do powstania zachęcone, jednym także nieszczęśliwym przypadkiem odwagę stracić mogły. Wandejczyk jest poważny, zimny i milczący; nad każdym planem rozważnie i dostatecznie się zastanawia i ściśle rozstrząsa, azali dzieło uprojektowane uda się lub nie. Jeżeli dobry skutek w przekonaniu jego przeważa, wtedy poda rękę, podejmie się wykonania planu i umrze w potrzebie, dopełniając swéj obietnicy. Lecz ponieważ przechylenie się na tę lub owę stronę znaczy tyle u niego, co pytanie o życiu albo śmierci, przeto namyśla się dobrze piérwéj, nim na którą stronę się skłoni. Wielu naczelników Wandei wzbraniało się w istocie saméj być posłusznymi, gdy otrzymali rozkaz podniesienia broni, i oświadczyli, że przedsięwzięcie to było bezowocne i zgubne. Przełożenia swoje kończyli zapewnieniem, że co się tycze własnéj swojéj osoby, chętnie przeleją krew swoję na rozkaz księżnéj, lecz przestrzegali ją, ażeby wzywaniem włościan do zbyt śmiałego przedsięwzięcia nie ściągała na siebie ciężkiéj odpowiedzialności. Pan de Coislin nawet, którego przyrzeczenia szczególniéj księżnę do tych działań skłoniły, oświadczył się w długim memoryjale przeciw jéj zamiarom. Księżna postanowiła jednak ostatecznie, szczęście swoje poruczyć przypadkowi i odważyć się na wszystko. Następującą więc posłała odpowiedź panu de Coislin:

»Mam wiele przyczyn zasmucać się doniesieniami, zawartémi w piśmie Wćpana. Zapewne dobrze przypomniesz sobie treść swoich listów dawniejszych; te więc listy, oraz powinność, która mi jest świętą, skłoniły mię do poufania znanéj poczciwości téj prowincyi. Wydając dnia 24. rozkaz do broni, uczyniłam to dla tego, że byłam pewną uczestnictwa wćpana w téj sprawie, i że dobre wiadomości z Południa i z innych stron Francyi odebrałam. Musiałabym sprawę moję uważać za straconą na zawsze, gdybym zmuszona została uciekać z kraju tego, co zapewne nastąpi, jeźli powstanie natychmiast nie wybuchnie. Wtedy nic mi nie pozostanie, jak opodal od Francyi ubolewać nad tém, że za nadto zaufałam przyrzeczeniom tych, dla których dobra narażam się na te wszystkie niebezpieczeństwa, by moje własne cele wypełnić. Wyznać muszę, iż, będąc pozbawiona rady marszałka Bourmont, z trudnością mi teraz przychodzi uczynić jakie postanowienie; lecz przekonana jestem o nim, że uda się na przeznaczone sobie stanowisko, jeźli na niém jeszcze się nie znajduje. Życzyłam sobie bardzo, ażebyś Wćpan zastąpił go radami swojémi; ale czas nagli, więc nic mi nie pozostaje, jak zaufać przychylności i gorliwości Wćpana. Rozkaz, po całéj Francyi rozesłany, ażeby dnia 24. t. m. broń podnieść, pozostaje zatém w zupełności swojéj dla całego Zachodu. W końcu potrzeba mi jeszcze tylko zwrócić uwagę Wćpana na wojsko. Zapewni nam ono dobry skutek; jest przeto obowiązkiem naszym, namawiać żołniérzy wszelkiémi, jakie być mogą, sposobami. Niech to będzie staraniem Wćpana, by odezwy i rozporządzenia na dwa dni przed powstaniem rozdane były, i wkładam na niego obowiązek, po nieprzyjacielsku przeciw żołniérzom nie postępować, dopokąd wszelkie środki do połączenia się z nimi wyczerpane nie będą. Ta jest nieodmienna wola moja.«

P. S. »Upraszam Wćpana, list ten pokazać natychmiast tym osobom, które list Wćpana, pisany do mnie, podpisały. Muszę mu raz jeszcze powtórzyć, Mości Margrabio, ile polegam na przychylności Wćpana, któréj tylokrotne dałeś mi dowody, a która w téj stanowczéj chwili jest ważniejszą dla mnie, jak kiedy. Wandeja dnia 18. maja 1832.

(Podp.) Maryja Karolina, rejentka Francyi.«

»Księżna miała największą nadzieję, że wojsko za nią się oświadczy. Doniesienia o tajnych usiłowaniach pozyskania sobie żołniérzy dowodzą aż nadto dobrze, jak źle zawiado-

miona była. Ona tymczasem, jak wyżéj się wspomniało, opuściła d. 15. maja, o g. 11téj, zamek, w którym była tak gościnnie przyjęta, i udała się do Wandei. Chciała nazajutrz zjechać się nie daleko Montaigu z panem Charette, i dla tęgo zmuszona była, połowę dnia i całą noc następną w podróży przepędzić. Umyśliła wstąpić w połowie drogi do domu pewnego plebana, który zawiadomiony był już o tém przez pana Charette i, jako gorliwy stronnik sprawy legitymistycznéj, podejmował się towarzyszyć księżnéj do miéjsca umówionego. Około ósméj wieczorem dostała się księżna do jego domu, dokąd sama tylko przybyła, lękając się, by liczna świta podejrzenia nie wznieciła. Ztamtąd miała jeszcze siedm mil do jechania. Księżna, robiąc tymczasem przygotowania do podróży, upraszała plebana po wieczerzy, ażeby wydał potrzebne rozkazy do jéj odjazdu. Wkrótce wszystko przygotowane było i, gdy pleban po upłynieniu ćwierci godziny powrócił do pokoju księżnéj, dla doniesienia jéj, że koń okulbaczony, zastał ją zmienioną w chłopca 18letniego. Długie jasne włosy ukryła w ciemnéj peruce. Pleban przywołał swojego chrzestnego syna, wyrostka może 16letniego, i, pokazując na księżnę, powiedział mu tylko tych słów kilka: »Tego młodego człowieka posadzisz za sobą na konia i zawieziesz aż do N...« Chłopak zmierzył szybkim wzrokiem młodzieńca, którego mu poruczono, i odrzekł: »Dobrze, Dobrodzieju, zawiozę go, dokąd rozkazujecie.« Księżna, pożegnawszy się z plebanem, wsiadła na konia za przewodnikiem, i oboje poczwałowali, nie mówiąc ani słowa, a przewodnik ani razu nie obejrzał się na swojego towarzysza. Za trzy godziny dostali się do przeznaczonego miéjsca. Księżna dała się tu poznać i weszła do domu, gdzie ją oczekiwano. Chłopak zaś, który ją przywiózł, wrócił natychmiast nie rzekłszy znowu ani słowa, ani żądając nagrody. Młody człowiek ten widział księżnę w r. 1828 i poznał mimo przebrania. W postępowaniu jego wyraził się w zupełności charakter włościan Wandei; jest on nieodmiennie jednakowy — zimny, milczący i wierny.«

»Charette przybył na umówioną godzinę i z tamtąd jechał daléj z księżną aż nie daleko Grand-Lieu. Zaledwo drogą tą z godzinę ujechali, zdarzył się przypadek, który omało całéj wyprawy téj jeszcze przed rozpoczęciem nie ukończył. Gdy bowiem podróżni, trochę poniżéj Remouilli, przeprawiali się przez Menę po moście, czyli raczéj po grobli z mokrych kamieni, schybnęła się księżna i wpadła w rzéczkę. Charette skoczył za nią i wyniósł ją na przeciw-legły brzég, gdzie księżna, za mężczyznę przebrana i nie mając innych sukień do przewdziania, w wielkim była kłopocie. Ale postrzegłszy dom w poblizkości, weszła doń, rozebrała się, a nim suknie jéj wyschły, owinęła się prześcieradłem. Udała się potém do sieni, gdzie towarzysz jéj podzielił się z nią misą kwaśnego mléka i kawałkiem czarnego chleba, które był dostał.«

»Z Aigrefeuille, gdzie księżna dostała znowu suknie płci swojéj i powóz, jechała gościńcem aż do Couffon, i tam przed domem pewnym wysiadła. Wkrótce inna niewiasta, w jéj suknie przebrana, wyszła z tego domu i wsiadła do powozu, który udał się drogą ku Nantes. Księżna tymczasem, mając na sobie suknie onéj niewiasty, udała się drogą boczną w najmniéj odwiédzaną część kraju. Mniemała, że, gdyby ją ścigano, tym sposobem prześladowców swoich na błędny ślad poprowadzić. Dnia tego samego jeszcze (17.) ukryła się księżna w chacie ubogiéj, oddalonéj od innych pomieszkań i bezpiecznéj od wszelkiego odkrycia. Ztąd dała znać panu Bourmontowi o swojém przybyciu do Wandei. Jenerał ten, przejechawszy Francyją przez Lugdun i Moulins, stanął był dnia tego w Nantes. Tu odebrała księżna pismo pana Coislin, i tu odwiédził ją pan de Guibourg.«

»Tymczasem, gdy księżna była czynną w Wandei, naradzali się z sobą w Paryżu jéj najwięcéj wpływu mający przyjaciele, lecz wątpili o dobrym skutku jéj przedsięwzięcia. Uważali więc za rzecz naglącą, udzielić księżnéj zdania swojego, a zwłaszcza przez człowieka, na którego zupełnie spuścić się było można. Książę Fitzjames, wice-hrabia de Chateaubriand i Hyde de Nenville byli za nadto od rządu strzeżeni; postanowiono zatém, ażeby adwokat pan Berryer udał się do księżnéj pod pozorem procesu przed sądem assisów w Vannes, wręczył jéj pismo, zawiérające zdania legitymistów Paryża, a resztę ustnie jéj opowiedział. Doniesienie o jego awanturniczéj podróży jest nader ciekawe.«

»Pan Berryer opuścił Paryż z rana d. 20., a d. 22. przybył do Nantes. Przyjechawszy dowiedział się, że pan Bourmont był tu od dwóch dni, i natychmiast udał się do niego. P. Bourmont odebrał d. 15. rozkaz do podniesienia broni na dniu 24.; lecz z tego wszystkiego, co słyszał podczas krótkiéj bytności swojéj w Nantes, był z panem Berryer jednego zdania, że żadnéj zgoła nie można było gruntować nadziei na tém powstaniu, które uważał za pomysł, godny litości, przedwczesny i niedorzeczny. Był on tak dalece tego zdania, że wziął na własną odpowiedzialność, aż do dalszych rozkazów, odłożenie powszechnego powstania. Z powodami podróży pana Berryer zgadzał się zupełnie i jeszcze dnia tego samego porobił potrzebne przygotowania do jego odjazdu. O godzinie drugiéj po południu stała przede drzwiami bryczka, w któréj pan Berryer miał jechać, lecz nim wsiadł do niéj, wypytał się poufnego ajenta księżnéj w Nantes, gdzie pani ta przebywała teraz, i którą drogą ma się do niéj udać. Ajent, wskazując na włościanina, stojącego na koniu srokatym przy skręcie gościńca, rzekł: »Widzisz wćpan tego tam człowieka; jedź za nim.« Postrzegłszy włościanin, że powóz pana Berryer wyruszył w drogę, w pewném oddaleniu jechał przed nim kłusem, tak jednak, że go pan Berryer nigdy z oczu nie stracił. Tym sposobem wyjechali przez most w pole; włościanin ani razu nie oglądnął się za panem Berryer, i tak obojętnie na pozór jechał przed powozem, któremu za przewodnika miał służyć, że pan Berryer wpadał kilkakrotnie na tę myśl, czy sobie z niego nie zażartowano. Ponieważ sam nie wiedział dokąd ma jechać, nie mógł wskazać woźnicy swojemu kierunku drogi, i gdy ten pytał się go o to, odpowiadał mu zawsze tylko: »Jedź za owym człowiekiem!« co też woźnica czynił z największą akuratnością, tak mało troszcząc się o swojego przewodnika, jak ten o niego. Po pół-trzeciogodzinnéj podróży, którą pan Berryer nie najmiléj przepędził, przybyli do pewnego małego miasta, gdzie włościanin stanął przed domem zajezdnym i zsiadł z konia. Woźnica zboczył także do téj gospody, i tam pan Berryer wysiadł. Włościanin wyszedł potém wolnym krokiem na miasto, a wnet i pan Berryer udał się za swoim dziwnym przewodnikiem, nakazawszy wprzódy woźnicy, by tu na niego czekał do drugiego dnia, do 6stéj godziny wieczorem. Gdy tak ze sto kroków uszli, zboczył przewodnik do pewnego domu, a ponieważ pan Berryer dognał go w krótkim przeciągu czasu, więc szedł tuż za nim. Ten otworzył drzwi od kuchni, w któréj sama gospodyni znajdowała się, i rzekł, wskazując na pa. Berryer: »Oto jest ten pan, którego prowadzić potrzeba.« — »Będzie prowadzony,« odpowiedziała gospodyni. Zaledwo rzekli te słowa, cofnął się włościanin ku drzwiom i zniknął tak prędko, że pan Berryer nie mógł mu podziękować, ani go wynagrodzić. Gospodyni dała tymczasem znak panu Berryer, ażeby usiadł, i, nie mówiąc ani słowa, zajmowała się daléj zatrudnieniami domowémi, jak gdyby sama była. Milczenie to trwało może trzy ćwierci godziny, gdy w tém przerwane zostało przybyciem gospodarza domu, który gościa przywitał wprawdzie, lecz nie okazywał ani zadziwienia, ani ciekawości. Pojrzał tylko na swoję żonę wzrokiem zapytania, a ta, nie powstając z miejsca, ani przerywając roboty swojéj, powtórzyła te same przez przewodnika piérwéj wyrzeczone słowa: »Oto jest ten pan, którego prowadzić potrzeba.« Gospodarz domu zmierzył gościa owym szybkim, podejrzliwym i badawczym wzrokiem, tak właściwym mieszkańcowi Wandei, a potém rysy twarzy jego przybrały zwyczajny wyraz dobroci i obojętności. Z kapeluszem w ręku przystąpił do pana Berryer i zapytał go: »Pan chcesz zapewne po naszym kraju podróżować?« — »Tak jest, i chciałbym zaraz jechać daléj.« — »Masz pan bez wątpienia papiéry przy sobie?« — »Mam.« — »Sąli one w porządku?« — »W najlepszym.« — »Chciéj mi je panie pokazać, a powiém mu, czy możesz bezpiecznie po kraju naszym jeździć.« — »Oto są one.« Włościanin wziął papiéry do ręki i przejrzał je od niechcenia; lecz zaledwo postrzegł imię Berryer, złożył je i oddał, mówiąc: »Dobre są papiéry, i możesz pan jechać z niémi, dokąd chcesz.« — »A wy, człowieku, pokażecie mi drogę?« — »Dobrze panie.« — »Chciałbym jechać jak tylko można najprędzéj.« — »Wnet konie okulbaczę;« włościanin wyszedł i, wróciwszy może w dziesięć minut, rzekł: »Konie już okulbaczone.« —

»A przewodnik.« — »Czeka.« Pan Berryer zastał przy bramie chłopaka, należącego do dzierżawy i siedzącego na koniu, a który drugiego okulbaczonego konia trzymał luzem. Nowy ten przewodnik, tak równie milczący, jak jego poprzednik, ruszył w drogę.«

»Jadąc ze dwie godziny, w których pan Berryer ani słowa z swoim przewodnikiem nie mówił, przybyli ze zmierzchem do bramy jednego z owych dworów dzierżawnych, które niewłaściwie imieniem zamków przezwano. Było w pół do ósméj, i pan Berryer zsiadł z swoim towarzyszem z konia i wszedł do dworu. Przewodnik obrócił się do służącego i rzekł: »Ten pan chcę mówić z twoim panem.« Lecz ostatni był właśnie w łóżku, ponieważ zeszłéj nocy znajdował się na tajném zgromadzeniu *szuanów* i cały dzień z konia nie zsiadał; był więc za nadto utrudzony, ażeby mógł wstać, i wysłał krewnego swojego na swojém miéjscu. Skoro pan Berryer powiedział krewnemu temu, kto on jest, i że życzy sobie mówić z księżną Berry, robiono natychmiast przygotowania do odjazdu. Krewny sam się podjął prowadzić podróżnego, i w dziesięć minut siedzieli już obaj na koniach. Ujechawszy z ćwierć mili usłyszeli może o sto kroków przed sobą głośne wołanie. Pan Berryer wstrzymał konia i zapytał, co to znaczy. »Jestto straż nasza,« odrzekł dowodzca Wandejczyków, »i tym sposobem zapytuje się, czy bezpieczny gościniec. Uważaj, panie, a wkrótce odpowiedź usłyszysz.« To mówiąc wziął pa. Berryer za rękę i skierował do jechania naprzód, a wkrótce odezwało się drugie hasło, dalsze jeszcze jak piérwsze i zdające się być echem jego, tak było z tonu do niego podobne. »Możemy śmiało jechać,« rzecze przewodnik, spiąwszy konia ostrogami; »gościniec zupełnie jest bezpieczny.« — »Czy patrol nasz jedzie przed nami?« zapytał pan Berryer. »Tak jest, mamy o kilkaset kroków przed sobą i za sobą człowieka.« — Ale któżto są ci ludzie?« — »Włościanie, których chaty przy gościńcu stoją. Uważaj pan, gdy koło któréj z tych chat przejeżdżać będziemy, wnet się otworzy okienko i człowiek niém wyjrzy. Gdybyśmy na przykład byli żołniérzami poblizkiéj załogi, więc człowiek ten wymknąłby się natychmiast tylną furtką, i nimbyśmy zdążyli do miéjsca zamierzonego, jużby tam o tém z ćwierć godziny przed naszém przybyciem wiedziano.« Tu raptownie przerwał Wandejczyk: »Baczność!« rzecze, wstrzymując konia. »Co się stało?« zapytał pan Berryer, »nic nie słyszę okrom hasła naszego patrolu.« — »Prawda, ale na hasło to nie ma odpowiedzi, więc żołnierze muszą być nie daleko.« Mówiąc to przypuścił kłusa, pan Berryer ruszył za nim i w téj chwili prawie dognani zostali przez człowieka z tyłu, który cwałem koło nich przeleciał. Gościniec dzielił się teraz na dwie mniéjsze drogi; zastali tam swojego strażnika, zmieszanego i nie wiedzącego, co robić. Na hasło jego z nikąd nie odpowiedziano, i przewodnik nie wiedział, którą udać się drogą, obie bowiem wprowadziły do miéjsca, dokąd podróżni zmierzali. Z cicha słów kilka przemówił do patrolu, a ten zboczył do parowu po prawéj ręce, i wkrótce w ciemności zniknął. W pięć minut potém udał się dowodzca z panem Berryer tym samym gościńcem daléj, i na miéjscu, zkąd wyjechali, zostawili jednego włościanina, który poźniéj pospieszył za nimi. O trzysta może kroków ztamtąd ujrzeli podróżni człowieka, który naprzód jechał, stojącego spokojnie na jednem miéjscu. Dał im znak, ażeby się cicho sprawowali, i szepnął do nich: »Patrol.« Niebawem obił się o ich uszy równy krok żołniérzy. Byłato, pisze jenerał, jedna z owych ruchomych kolumn, które właśnie ront nocny odbywały. Odgłos kroków żołniérskich coraz więcéj się zbliżał, i wkrótce mogli jadący bagnety ich rozróżnić. Oddział ten wojska nie wybrał, dla uniknienia płynącéj po parowie wody, żadnéj z owych dwóch wyżéj wzmiankowanych dróg bocznych, co przewodnika na chwilę niepokoiło, lecz wdarł się na wzgórza i po drugiéj stronie zarośli szedł ścieżką, panującą nad graniczącym z nią parowem. Położenie podróżnych było bardzo krytyczne, bo dosyć, ażeby był tylko koń który zarżał, a byliby zostali odkryci i uwięzieni. Lecz konie zachowały się, jak na szczęście, tak spokojnie, jak gdyby przeczuwały niebezpieczeństwo, w jakiém ich panowie zostawali i żołniérze przeszli, nie domyślając się nawet, co za ludzie nie daleko nich byli; poczém podróżni wyruszyli w dalszą podróż.«

(Ciąg dalszy nastąpi.)

OWCE I OWCZARNIE W GALICYI.

(Nadesł.)

Powracając z Prus, gdzie w interesach familijnych bawiłem, starałem się, ile mi czas i nie zbyt wielka odległość od gościńca pozwoliły, sławne pruskie i austryjackie owczarnie zwiedzać dla obznajomienia się z manipulacyją, której tam przy hodowaniu owiec używają; ile że sam posiadam owczarnią, i na owcach i wełnie niezgorzej się rozumiem. Wjechawszy zaś do Galicyi, i tutejsze owczarnie oglądać nie omieszkałem, a zacząwszy od Białej, prawie ku samemu Lwowu, wszędzie po owczarniach wstępowałem. Niestety, żadnego i najmniejszego porównania tutejszych owczarni z niemieckiemi zrobić nie mogłem! Jak tam wygorowany porządek i systematyczne prowadzenie, tak tu nieporządek i największe zaniedbanie znalazłem. Nie jest tu miejsce, przyczyny tego odkrywać, w czasie swoim i to zrobię; teraz tylko jeszcze o jednej owczarni, w blizkości Lwowa leżącej, uczynić muszę uwagę, która nie tylko tu, ale wszędzie do rzędu pierwszych liczyć się może. Wyjechawszy z Przeworska, gdzie także owce oglądałem, stanąłem na południe w cyrkularnem mieście Przemyślu. W oberzy siedziało koło mnie dwóch panów, rozumujących o jakiejś owczarni; jeden z nich bez granic ją chwalił, drugi zaś ile możności, starał się ją poniżyć. Ciekawością zdjęty, słysząc tak odmienne zdania, zapytałem, gdzieby ta owczarnia była. Odpowiedziano mi, że się znajduje tylko o trzy ćwierci mili od tego miasta, w Rożubowicach, wsi pana P., na dobromilskim trakcie leżącej. Mając jeszcze czas, zostawiłem konie moje w Przemyślu, a najęwszy Żydka, do Rożubowic pojechałem. Nie znając pa. P., chciałem inkognito, bez zaznajomienia się z nim, owczarnią obejrzeć, i nazad do Przemyśla na noc wrócić; lecz jakże byłem zdziwiony, gdy mię stojący przed owczarnią owcarz, Niemiec, wewnątrz puścić nie chciał, mówiąc, iż bez pozwolenia właściciela zrobić tego nie może. Aby jazda moja daremną nie była, musiałem do dworu wstąpić, i *faisant bonne mine au mauvais jeu*, z właścicielem zapoznać się. Z nim dopiero do owczarni poszedłem, i szczerą prawdę wyznać muszę, że większego porządku, lepszego utrzymania owiec, zgoła całej manipulacyi nigdzie lepszej nie znalazłem, również piękniejszych owiec, a mianowicie baranów, nie widziałem. Życzę każdemu, utrzymaniem owiec bawiącemu się, tę owczarnią zwiedzić; nie będzie bowiem nigdy tego żałował. W owczarni tej można także dostać jak najpiękniejszych baranów za mierną cenę. Na jakim stopniu doskonałości owczarnia rożubowska stać musi, każdego to przekona, gdy powiem, iż jéj właściciel znowu tego roku partyję owiec sprowadził, a mianowicie z Prus od sławnego Hellera. Podczas mojej bytności w Rożubowicach przybyły te owce, które, co do cienkości wełny, przechodzą wszystkie owce, jakie dotychczas widziałem; warto je widzieć, osobliwie barany. Za jednego z nich, jak pan P. zaręczał, na miejscu 80 duk. zapłacił.

Gdyby wszyscy posiadacze dóbr w Galicyi z równą panu P. znajomością, pilnością i gorliwością do owiec się brali, przy tak obfitych i dobrych pastwiskach, jakie ma Galicyja, owczarnie tutejsze w równowadze z niemieckiemi stanąć, a kto wie, czyby nie za długo i przewyższyć ich nie mogły. D. 31. marca 1834. *L. W....cz.*

WYCIĄG Z LISTU PEWNEGO FRANCUZA,

służącego w legii cudzoziemców w Algierze, który do krewnych swoich we Lwowie napisał.

Algier, w Afryce, d. 6. grud. 1833.

.....We Francyi pełno jest Polaków i dziwi mię to nie pomału, jak tam wszyscy żyć mogą, bo nie wszyscy niestety pracują, i wzbraniają się nawet wstępować w służbę francuzką. Co do mnie, przyłączyłem się do lepiej myślących i raz jeszcze wziąłem się do oręża, by odbyć wyprawę w Afryce przeciw Beduinom. Czas mojej służby wyznaczony jest na lat trzy i oto mija już pół roku, jak się w Algierze znajduję. Klima, jak ci wiadomo, jest tu gorące, ale nocy, nawet w najpiękniejszych miesiącach letnich, są tak nadzwyczajnie chłodne, że każdy prawie Europejczyk, przybywający do tego kraju, musi mieć febrę lub biegunkę. Dostałem także tę słabość i leżę już trzy miesiące w szpitalu Babazonn w Algierze, wszelako tak dalece jestem wyleczony, że niczego już obawiać się nie mam. Okolice Algieru są rajskiéj piękności; przepyszne ogrody i wspaniałe domy wiejskie wzdłuż brzegów morskich, obszernie zabudowana dzielnica Mustapha-Pascha, gmachy po górach do zamków podobne, otoczone cedrami, drzewami pomarańcz i fig, wszystko to robi wielkie wrażenie na oko. Miasto także codzień się upiększa, ulice rozszerzają się, a domy przybierają postać europejską. Ze wszystkich części świata osiadają tu ludzie, i Algier stanie się za lat kilka osadą kwitnącą. Szkoda tylko, że Beduini gór są nam jeszcze nieprzyjaźni, i często bić się z nimi musimy. Wprawdzie zostajemy zawsze zwycięzcami, lecz podobne wyprawy za nadto niepokoją żołnierza i wystawiają go na trudy, szkodliwe zdrowiu jego. Żydów jest tu może więcej jeszcze jak w Polszcze, lecz mówią tylko hebrejskim i arabskim językiem. Mając teraz częstą styczność z wojskiem francuzkiem, już i języka francuzkiego uczyć się zaczynają. Arabowie i Maurowie chętnie także naśladują obyczaje europejskie, są bardzo towarzyscy i mówią dosyć dobrze po francuzku. Tu przez rok cały trwa lato, wyjąwszy kilka tygo-

dni, w których mocne deszcze leją. O śniegu nic tu nie wiedzą i nie widać go nigdzie, oprócz na najwyższych szczytach Atlassu. Niwy wiecznie zielenieją się, a teraz, w grudniu, już drzewa kwitnąć zaczynają. Jarzyny znajdują się przez cały rok w ogrodach, i wszędzie po polach kwitną kwiaty. Ach! co to za rozkosz dla mnie, w dniach ciepłych kąpać się w morzu, i jak chętnie przypatruję się okrętom, z rozwiniętemi żaglami po błękitnych, niezmierzonych przestrzeniach szybującymi Pułk, w którym służę, nazywa się *Legion étrangére*; złożony jest ze wszystkich narodów Europy. Cztery batalijony składają się z Niemców, jeden z Hiszpanów, jeden z Włochów, a siódmy batalijon, w którym ja służę, z Polaków. Dotąd nie jest jeszcze skompletowany, lecz mocno pracują nad tém, ażeby go uzupełnić.

— Ze Lwowa. —

OD REDAKCYI.

Redakcyja Gazety Warszawskiej przeszła z początkiem tego kwartału w inne ręce. Nowy redaktor oświadcza, że: »Gazeta Warszawska, w obszérniejszy wstąpiwszy zawód przez swe Rozmaitości, których zakres nie jest ograniczony, ma przed sobą wielkie pole.« (Wypadałoby było dodać: a w Rozmaitościach Lwowskich obfite źródło.) Tymczasem Gazeta Warszawska nieprzestaje przedrukowywać, jak pod przeszłą Redakcyją, tak w samej Gazecie jak w Rozmaitościach, nie tylko drobniejsze, lecz nawet kilko-arkuszowe, bądź z obcych języków tłumaczone, bądź wolno przerobione artykuły, które niejako za oryginalne uważać należy, owszém nawet oryginalne, bez wymienienia źródła, z którego czerpie. Redakcyja Gazety Lwowskiej już po dwa kroć upominała się téj, wyrządzonej sobie krzywdy, lecz głos jéj był dotąd głosem wołającego na puszczy. Teraz, gdy szanowni koledzy, PP. Redaktorowie, tak bezsumiennie przeciw niéj postępują, nie upatruje dla siebie innéj tarczy przeciw téj kradzieży literackiéj, nad sąd światłéj i bezstronnéj publiczności czytającéj; odtąd więc donosić będzie w Rozmaitościach swoich, który artykuł przedrukowany został w jakiém pismie polskiém z Gazety lub Rozmaitości Lw., bez przytoczenia źródła, aby przynajmniéj czytelnicy pisma jego wiedzieli, jak niemiłosiernie skubią go koledzy jego, PP. Redaktorowie pism polskich.

* * *

Umieszczamy wykaz liczbowy sztuk nowych, granych na tutejszym teatrze polskim w latach 1832, 1833 i 1834, to jest: włącznie od września r. 1832 do połowy kwietnia b. r. Roku 1832 grano komedyj nowych 12, kom. oper 2, dramatów 7; ogółem sztuk nowych 21 (oryginalnych 2, tłumaczonych 19). Roku 1833 grano nowych komed. 11, kom. op. 1, dram. 12; ogółem sztuk nowych 24 (oryginalnych 2, tłumaczonych 22). W roku bieżącym grano już nowych komed. 4, kom. op. 1, dram. 3, trajed. 1; ogółem sztuk nowych 10 (z tych oryginalnych 4, tłumaczonych 6). Grano więc w przeciągu 24 miesięcy (bo odtrącamy miesiące przerwy teatralnéj) sztuk nowych 55. Z utworów oryginalnych przedstawiono sztuki: Al. hr. Fredra, Józ. Korzeniowskiego, Fryd. hr. Skarbka, Edw. Odyńca, Ant. hr. Karśnickiego trajedyją Męga; najczęściéj zaś komedyją piérwszego: Magnetyzm serca, gdyż 11 razy.

Ważne szczegóły, do historyi handlu polskiego należące, znajdują się w książce, przez Wojciecha Gostkowskiego wydanéj r. 1622, pod tytułem: »Sposób, jakim zepsowane góry złote i srébrne w Królestwie Polskiem naprawić.« Umieszczamy tutaj jeden wyjątek z traktatu 5go: »Wiedz też o tém, że nam na jarmarki do Polski »nic inszego nie przywożą Wrocławianie i inszy Ślązacy, »jedno dłótka żelazne, świderki, dzwónki, szpilki, igły, »koziki, łętki, krzełki, a trochę *operis artificiose facti*, »których tu wyliczać nie potrzeba, bo są błahe. Sukna »szląskie pospolite, karazyje, kiry, pończochy, szyderze »(rodzaj wełnianéj materyi) z naszéj wełny; wyroby wro»cławskie, obrusy, ręczniki, płótna głogowskie i z inszych »miast, z naszych lnów, konopi; szepc (piwo wrocław»skie, nie mniéjszéj dobroci od hamburskiego, jak pisze »Syrenijusz) z naszych pszenic i jęczmieni, co oni lepiéj »nam na wstecz sprzedają, niż my onym. Od nas mają »woły, barany, konie, skóry rozmaite, chléb, sól, »miody, śledzie (artykuł z czasów handlu morskiego w Pol»szcze), węgorze, łososie, małmazyją, futra rozmaite, wo»ski, łoje, piérze, ołowy *(sic)*, saltery, popioły, farby »rozmaite do sukien, siana, słomy, plewy, a naostatek i »mierzwę od nas kupują i t. d. Z tychże rzeczy upatruj, »kto tu do kogo powinniéjszy jachać, i co komu potrzeb»niéjszego. Ślązakom i Niemcom bydło polskie nieodzownie »jest potrzebne i t. d.« Na uwagę zasługuje wzmianka o szafranie czeskim, powiada bowiem autor: »Szafrany »za urodzajem obfitym czeskich, tureckich, aragońskich, »cypryjskich szafranów zniżają swoję cenę.« Nie jest mi, chociaż Czechowi, wiadomo, żeby się był szafran kiedyś w Czechach rodził. Teraz bynajmniéj tam o nim nie masz pamiątki. Albo byłto szafran rakuzki, którego Czesi Polakom dostarczali; lecz Gostkowski za nadto wyraźnie o szafranach czeskich mówi. — Lwów, według Kromera, był za króla Zygmunta, od r. 1515, głownym składem pieprzu, który Ormianie ze Stambułu przywozili, bo mądry Zygmunt zakazał go odbierać z Wrocławia, z téj przyczyny, iż niezmiernie bogaci Fuggerowie, kupcy w Niemczech (przodkowie teraźniéjszych hrabiów i książąt Fuggerów) z handlu pieprzem monopolijum zrobili, przedawając funt po złotemu reńskiemu (po dukacie), *ad aurei Renensis valorem*, jak Kromer powiada. Prawosław.

Łukasz Gołębiowski opisuje w ten sposób wesele panny dworskiéj w Żółkwi za Jana III. »O czwartéj po południu zgromadzono się na ucztę, potém były tańce. Drugiego dnia, w obecności królowéj, przyniesiono pannie młodéj podarunki; nie było mniéjszych co do wartości, jak półmisek srébrny; oddawano je przed samym obiadem. Trzeciego dnia obchodzono wesele w ten sposób: Każdy z gości przyjechał konno, i towarzyszył panu młodemu i pannie młodéj, do kościoła jadącym, i powracającym do domu. Po obu stronach drogi bito w kotły i grano w trąby. Poczém zajechali goście do pana młodego, który ich wspaniale przyjął.«

Rossyja liczy mieszkańców 62,592,000 którzy dzielą się na 83 rodzaje ludzi; między temi jest 54,000,000 Sławian; 3,000,000 Finlandczyków; 2,500,000 Tatarów, 1 mil. 10,000 Kaukazanów; 500,000 Niemców; 320,000 Mongołów; 90,000 Eskimów; 70,000 Samojedów; 65,000 Manczurów; 25,000 Indyjan; 12,000 Kamczadałów; a 1,000,000 niewiadomego plemienia. Podług wyznań religijnych dzieli się ta ludność na 46,300,000 wyzn. greckiego (łącz. katol. unic.); 6,000,000 rzym. katol.; 3,300,000 mohamedańskiego; 2,600,000 luterskiego; 700,000 szamańskiego; 600,000 starozakonnego (zbyt małą podano ilość Żydów); 210,000 lamaickiego; 84,000 reformowanego (kalwin.), 79,000 ormian. katol. wyznania; 10,000 braci czesko-morawskich *(Herrnhuter)*; 6,000 menonitów, a 3,000 filipowców. W Europie, oprócz 3,850,658 pod panowaniem rossyjskiem zostających Polaków, jest samych Rossyjan (łącznie z Rusinami) 44,603,600. Co do gęstości zaludnienia Rossyja stoi na niższym stopniu od Szwecyi i Norwegii.

Król pruski i książę Wellington są doktorami filozofii, o czém wielu czytelników naszych nie wie zapewne, gdyż

nie zwykli tytułu tego używać. Godnością tą obdarzył ich uniwersytet oxfordzki w r. 1814.

Od d. 1. kwietnia r. b. wychodzi w Wiédniu nowe pismo czasowe, pod nazwą: *Blätter für Kunst, Industrie und Handel.* Redaktorami pisma tego są pp. W. C. W. Blumenbach i znany literat Mikołaj Fürst.

Dnia 17. stycznia r. b. umarł w Medyjolanie, w 70tym roku życia, kawaler Giovanni Aldini, były profesor fizyki w Bononii i członek instytutu lombardzko-weneckiego. Zrobił sobie stałe imię przez zasługi swoje w fizyce, mianowicie przez niektóre poprawy w systemacie machin i przez wynalazek niepalącéj się sukni asbestowéj dla pracujących przy ogniu, o czém było kilkakrotnie w pismie naszém. Bogaty aparat swój zapisał swojemu ojczystemu miastu Bononii; porobił także niektóre dobroczynne zapisy.

Zdawało się, że przez wprowadzenie literatury fenikowéj i szelążkowéj *(Pfening und Heller Litteratur,* jak się pewny dziennik niemiecki wyraża) inne przedsięwzięcia księgarskie upaść będą musiały, ale przypadek ten wcale jeszcze nie zachodzi. Oto np: stereotypograf Tauchnitz w Lipsku drukuje właśnie stereotypami koran w oryginale, i spodziewa się pięknością wydania do tego doprowadzić, że koran, przez niego wydawany, u Turków nawet wstęp znajdzie, lubo oni przyzwyczajeni są do jak najpiękniéj pisanych koranów. Nie jeden nadzieję tę za chimeryczną uzna, lecz nie jest ona bez zasady; wszakże wydana przez tegoż samego nakładnika edycyja klasyków greckich utorowała sobie drogę do Grecyi i do Konstantynopola, i posyłana tam bywa w licznych odbiciach.

Wiadomosci z Paryża. Najświetniéjsze ekwipaże, które zwracały uwagę Paryżanów podczas tegorocznéj wielko-nocnéj przejazdki do *Longchams,* były własnością cztérech cudzoziemców, pp. Aguada (Hiszpana), Schicklera (Niemca), Stagpoole (Anglika) i hr. Demidowa (Rossyjanina). Jestto ze wszech miar zadziwiającém w Paryżu zjawiskiem. Mniéj zastanawiać powinno, że cztéry najpiękniéjsze kobiety, widziane na téj promenadzie, były także cudzoziemki: Włoszka, Hiszpanka, Angielka i Polka. Francuzki, a szczególnie Paryżanki, nie należą, jak wiadomo, do najpiękniejszych z płci swojéj w Europie, i w Paryżu można śmiało pójść o zakład, że między trzema prawdziwie ładnémi kobiétami, są najmniéj dwie cudzoziemki.

Czytamy w dziennikach paryzkich mód następującą charakterystykę panny, chcacéj być modną, a przeto powabną: Modna teraz panienka powinna być do wielu rzeczy podobna. Powinna być czysta, jak śniég, lecz nie tak, jak śniég, łatwa do roztopienia. Powinna być, jak gwiazda, wypogodzona, lecz na odwrót nie powinna, jak gwiazda, być wieczorem widywana. Powinna być smagła, jak rybka, ale nigdy tak ślizką być jéj nie wolno. Powinna, jak świeża cytryna, miéć wewnątrz nieskażone serce, lecz nigdy nie ma, jak tamta, życie drugich kwasem zaprawiać. Nareszcie, jak świeca woskowa, powinna tylko w zakresie domowym blask wydawać, lecz nie powinna, tak jak tamta, potrzebować ustawicznego objaśniania.

Sztukę tańczenia posuniono do takiego stopnia w Paryżu, że nie dawno tamże, na teatrze wielkiéj opery, tańczyło z największą gracyją i elegancyją — ośm białych niedzwiedzi z ośmią czarnémi.

W jedném z miast prowincyjnych Francyi dawał pewien biédak, z takimi, jak sam, biédakami, przedstawienia dramatyczne. Dnia pewnego, kiedy właśnie szło mu o to, ażeby nową sztukę z niewielą osobami wystawił, wybrał Pigmaliona. Trzeba było koniecznie statui do téj sztuki, lecz mimo wszelkich starań żadna z młodych dziéwcząt nie chciała się podjąć téj roli. Godzina rozpoczęcia widowiska już się zbliżała, a dopiéro wymowa jego odniosła zwycięztwo nad pewną murzynką, i przy podniesieniu zasłony wydają widzowie śmiech głośny, na widok afrykanskiéj Galatei. Zaczynają krzyczéć, gwizdać, lecz Pigmalion bynajmniéj się tém nie miesza, przerywa rolę swoję i rzecze, zwracając się do publiczności: »Moi panowie i panie, nieukontentowanie wasze zadziwia mię. Czyliż Pigmalion nie mógł statui zrobić z czarnego marmuru?« Odpowiedź ta tak się podobała, że sztukę tę musiano kilka razy powtarzać, każdy albowiem chciał widziéć statuę Murzynki, która z resztą rolę swoję grała bardzo przyzwoicie.

Niejaki kawaler Brame wynalazł w Lugdunie nowy system fabrykacyi cukru. Do kotła ewaporacyjnego wprowadza ciepłe powietrze, przezco nacisk powietrza atmosferycznego ustaje, a syrop w ciągłém kipieniu utrzymywany bywa. To przyspiesza ewaporacyją nawet pod 45 stop. Reaum. Rafinerowie wynalazek ten za bardzo ważny poczytują; jestto bowiem znaczną korzyścią, zdziałać ewaporacyją w tak nizkiéj temperaturze, jak jest stopień 45, i w połowie czasu, jakiego potrzeba do sprowadzenia wyższéj temperatury. Także w wydatku cukru jest tym sposobem zysk znaczny, bo kiedy dotąd 45 do 48 od sta białego prawdziwego cukru otrzymywano, podług téj metody miéć można więcéj, jak 54 od sta. W cukrze z buraków zyskiwano dotąd najmniéj 6 do 7 od 100, lecz podług nowéj téj metody można zyskać 10 do 11. Wynalazek ten wzniesie więc fabrykacyją cukru we Francyi nad wszystkie inne w Europie.

PP. Jobard i Stielhorff w Bruxelli wynaleźli logograf, mocą którego, jak twierdzą, głos przez rury podziemne daleko rozchodzić się może. Linija taka logograficzna, zastępując telegraf, ma być założona między Bruxellą i Antwerpią, między Bruxellą i zamkiem Laeken. Ostatnia linija ta będzie kosztować 15 do 20.000 frank. Nie podpada żadnéj wątpliwości, że się uda ten nowy sposób komunikacyjny, i że z wielką będzie korzyścią, szczególnie dla świata handlowego.

Znana zaszczytnie w romansopisarstwie i w rodzaju pism dla młodzieży autorka angielska, pani Edgeworth, sama przewyższyła się w najnowszym romansie swoim: Helena. Nigdzie świetniéj nie okazał się jéj talent przedstawiania rzeczy, nigdzie jaśniéj nie wykryły się jéj znajomości świata, jéj dar uważania rzeczy z dobrego stanowiska, a przede wszystkiém jéj głębokie uczucie. Romans ten jest koroną powabnych obrazów angielskiego i irlandzkiego życia towarzyskiego. Ma on na sobie, jak wszystkie jéj pisma, charakter wzniosłéj moralności, ta razą z mocą prawdziwie dramatyczną skojarzony. — Pani Sew. Belloc, przez lat tyle poufna przyjaciółka autorki, wytłumaczyła właśnie romans ten na jezyk francuzki.

Rossyjski porucznik rotmanów, Pasztussów, zwiedzał w lecie r. 1833 brzegi wschodnie Nowéj Zemli, na okręcie, przeznaczonym ku temu przez dom handlowy Brandta w Archangelu. W sierpniu r. 1832 wypłynął na morze z pięcią majtkami. Już we wrześniu został tak bardzo otoczony lodem w pewnéj zatoce na południowo-wschodniéj stronie Nowéj Zemli, że zmuszony był przepędzić tam zimę w chacie, którą z towarzyszami swoimi wybudował sobie z drzewa tratwowego. W maju r. 1833 przedsięwziął w kraj wycieczkę dla przeglądnienia brzegów wzdłuż drogi Wajgaru. W téj podróży napadła tę małą karawanę gwałtowna burza śnieżna. Dla ocalenia życia zmuszeni byli podróżni pokłaść się na brzuchu i przetrwać trzy dni w tym stanie okropnym. Jak na szczęście byli dobrém futrami okryci, co ich od zmarznięcia ochroniło. Dopiéro d. 23. lipca r. 1833 mógł Pasztussów z okrętem swoim zatokę opuścić, gdzie był przez 10 miesięcy zamrożony. Opłynął więc potém całe wschodnie brzegi wielkiéj Wyspy Podwojnéj, i d. 2. grudnia r. 1833 wrócił do Archangelu. Nie są jeszcze wiadome szczegółowe zdarzenia téj podróży i skutki badań w krainie przyrody na téj, 4.000 mil kw. zajmującéj wyspie, która od 69 do 76 stopnia szérokości północnéj sięga.

REDAKTOR, MIKOŁAJ MICHALEWICZ. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.